№ 11. Warszawa, dnia 2 (14) Marca 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

☞ Z końcem bieżącego kwartału, rozpoczynamy powieść historyczną Michała Jezierskiego, pod tytułem ***„Klemens Janicki"***, oraz obrazek Aleksandra Półkozica: ***„Święcone na cztery ręce"***.

STUDYA LITERACKIE.

O „POGANCE" NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ.

PRZEZ

Józefę Zdżarską.

(Dokończenie.)

Rzućmy teraz okiem na całość powieści, bo dotąd śledziliśmy ją w jej szczegółach. „Poganka", to niby góra, z której szatan pokazuje Chrystusowi wszystkie skarby ziemskie. Tym szatanem Gabryela uczyniła Aspazyę, jest to anioł upadły Miltona.

I ona zbudowała na górze czarowny zamek, naksztalt państwa szatana Miltonowskiego, chce zastąpić Beniaminowi czarami ziemskiemi, niebieskie rozkosze utraconego raju słomianej strzechy rodzinnej, pod którą miłość, ta najpiękniejsza prawda Boża, czyni ludzi na ziemi wielkimi sercem i rozumem, a świętymi w czystych duchów krainie. Przedstawicielami tej miłości wszechpotężnej, bo chrześciańskiej: ojciec, matka, bracia i siostry Beniamina, którzy dziecięciu ziemię w raj zamienili, bogacąc je, każdy z osobna, wyłącznością ducha indywidualną. Miłości zaś, zwanej kochaniem, lecz opartej na czystem sercu, na tym niespożytym gruncie wszelkiej piękności ludzkiej, wszelkiej potęgi człowieczej, uosobieniem: Adam i Walercia. Miłość ta, uwydatniona w mężczyznie w pełni siły, w połączeniu z niewieścią niemal tkliwością, zlewa się harmonijnie z miłością kobiety skromną a głęboką. Prześliczne to typy narzeczonych: on, prawdziwy bogdan, garnie do kochającej, szlachetnej piersi swoją bogdankę, tę wdzięczną, białą dziewczynkę o oczach z błękitu nieba, owijającą się prawie około jego ręki, jak kwiatek ślazowy. Uprzytomniamy sobie z rozkoszą te cudnie piękne sylwetki, narysowane jednym pociągiem ręki mistrzyni, ukazujące się chwilę tylko, w przechodzie przez raj utracony Beniamina. Oni inaczej w „Pogance" oddani być nie mogli, jako przejściowi jedynie, bo dla nich, na owej górze, gdzie Aspazya-kobieta-poganka, nad swymi poddanymi panuje, miejsca nie ma. Ale tem wybitniej, od tych przedstawicieli czystej miłości, tak lekko naszkicowanych, jak anioł w błękitnej oddali, nad ciałem Anhellego pochylonej, uwydatnia się w gorącej purpurze słońca, Aspazya i Beniamin, zbliżeni do siebie, ręką artysty Cypryana. I w tem innego rodzaju państwie miłość panuje, opromieniona światłem geniuszu, ale nie potęgi twórczej, lecz jak bóstwo indyjskie Szywa niszczącej. Poganka zamożna tą siłą, musi być wszechpotężnie piękna, lecz natury demonicznej. Wy-

chyla się przed nami nagle, niby niespodzianka, urocza, tajemnicza, z cieniów nocy, w świetle olśniewającem błyskawicy, w całem bogactwie starożytnego świata, w całym egoizmie, w całej nagości pogańskiej, jak posąg wspaniały, lekką tylko draperyą osłoniony. Nic w nim nie brakuje, ni piękności plastycznej kształtów, w całym uroku bogactwa krezusowego, ni iskry geniuszu, ni nienasyconej niczem żądzy używania. Urocza, potężna w swej demonicznej sile, piękność kobiety starożytnej olśniewa, oślepia, miłość jej wulkaniczna tryska wprawdzie iskrami brylantowemi, ale nie grzeje, pali tylko jak wulkan i w proch obraca wszystko co pochłonie, piękne, dobre, a oddaje lawę, która w drodze swej martwieje. Przed taką to potęgą, nie dającą się niczem owładnąć, ni podbić, ni zmiękczyć, schylają się głowy tak laurami, jak koroną ozdobione, schną serca, słabną niekiedy najsilniejsze ramiona, bo każda piękność dzierży berło despotycznie. Cóż więc dziwnego, że chłopię Beniamin, nieświadomy nadto życia, ni jego uroków, ujrzawszy na swej drodze, tę wszechpotężną w swoim rodzaju czarodziejkę, nie mógł, nie był zdolny, nie miał wreszcie siły, zapanować nad białym duchem swoim i upadł do tego stopnia, że kiedy mu zabrakło tego cudnego cacka natury, gdy jego miłość bałwochwalcza unicestwiła się w przebolałej duszy, zamarł, zmarniał, przestał czuć tak radość, jak boleść, pozostała mu tylko pamięć miłości matki i pamięć o Bogu. Ale Gabryela ukazała nietylko, jak potężną była ta kobieta w piękności swojej, w potędze geniuszu, w sile swej demonicznej natury, ale wycieniowała rolę jej, jak znakomity artysta psycholog, z całą głęboką znajomością serca kobiecego.

Jej bohaterka od początku do końca powieści, z całem przejęciem się swego demonicznego zadania, z całą pewnością potęgi, której ma świadomość, oddaje swą rolę, nie spuszczając na chwilę swej ofiary z oka. Wyssawszy na sposób pszczoły wszystko to, co pięknem, dobrem, uroczem było w duszy Beniamina, porzuca go wreszcie niby sprzęt niepotrzebny i nie oglądając się po za siebie, idzie dalej swoją drogą ze spokojem Poganki. Jest to proces naturalny miłości pogańskiej. Ona nie była w Grecyi ogniem świętym, który kobieta dzisiejsza pielęgnuje religijnie przy ognisku domowem; tym ogniem ożywiającym piersi narodu, była miłość chwały gorąca, pochłaniająca niekiedy całe życie jednostki, miłość swobody wreszcie artyzmu, życia, używania. Taką miłością dla idełu swego żył Cypryan, taką miłością używania samolubnego kochała Aspazya.

Beniamin, piękny jak Endymion, pełen werwy i siły młodzieńczej, z ogromnem bogactwem ducha, z pragnieniem miłości, cały chłonie w ubóstwieniu bałwochwalczem dla Poganki, nie on nad nią, ale ona nad nim panuje, nie on ją, ale ona go wiedzie. Dzieje miłości jego snują się również według psychologicznej prawidłowości, lecz tak misternie z takim nadobnym, greckim spokojem przeprowadzone, że dopiero wówczas, gdy bohater przestał być sobą, gdy go zaślepiła zazdrość, zemsta, usłyszeliśmy pierwszy zgrzyt nowożytnego już świata, Poganka została do końca sobą.

Pomiędzy Aspazyą i Beniaminem stoi Cypryan, który ich zbliżył do siebie. Jest to potężna w swoim rodzaju indywidualność. Takiej dzielnej postaci artystycznej, niby posągu ze spiżu, z taką jasną gwiazdą geniuszu u czoła, z takiem bogactwem fantazyi, siłą uczucia, z taką przytem miłością pogańską życia, a razem i pyszną wzgardą ziemskich znikomości, dotąd nikt nie stworzył. Cypryan, ten artysta Grek, zdolny przebierać marmurowemi palcami po sercu bliźniego, by nim dźwięk żądany do jego melodyi wydało, przybić go nawet do krzyża, dla odtworzenia bolejącej twarzy Chrystusa, któremu świętość w najwyższej boleści, ukazała się w najwyższem szczęścia uniesieniu, używający życia po ateńsku, patrzący spokojnie jak Grek w oczy śmierci, nie żałujący wśród najlepszych i najukochańszych, po spełnieniu przepełnionej czary rozkoszy, niczego przed zgonem, nie odstręcza nas jednakże, przeciwnie, pociąga sympatycznie, w takie go prześliczne, wspaniałe draperye fantazyi uczucia i siły ducha poetka ubrała.

Po uchyleniu się ze sceny Cypryana i Aspazyi, Gabryela, niby na ochłodę sercu, zwracając się do ciszy, owego oazys domowego ogniska, do którego Beniamin, jako trup chodzący powrócił, ukazując nam już wyraźniej matkę rodziny, jej błogosławieństwo i serce. Dominuje ona tak wszechwładną potęgą miłości nad nami, chociaż pochylona latami i cierpieniem, żebyśmy z rozkoszą głowy nasze pod jej błogosławiące ręce schylili. — Ludwika jest prawdziwym ideałem siostry kochającej.

Ale bohater i bohaterka tego prozą poematu, pomimo mnóstwa prześlicznych, przecudnych szczegółów, górują że tak powiem, nad tą masą piękności tak stylu, jak obrazów; nic ich nie zasłania, przeciwnie, najmniejsza drobnostka, arcydziełko, tem więcej uwydatnia, wyprowadza na jaw.

Ciągną oni magnetycznie nasz wzrok ku sobie. Czy dlatego, że tacy piękni oboje, że nam żal, iż Aspazya tylko wspaniałym z najpiękniejszego marmuru wykutym posągiem została, że pełen zdolności Alcybiades już nie zmartwychwstanie, że złamał się piękny Greczyn, a bojownik Chrystusowy nie dorósł swej miary, że z całej tej potężnej gry ludzkich namiętności, oddany z całą siłą niewieściego geniuszu, wyłonił się tylko chodzący trup Beniamina, który pozostał jedynie po to na ziemi, by ostrzegał i groził straszliwym upadku swego przykładem? Jakiekolwiek tendencye przypisywać będziemy Gabryeli, które nią powodowały, gdy rzeźbiła swoje arcydzieło, czy dopatrzymy w niem działań i uczuć ludzkich namiętności, ze stanowiska etyczno i psychiczno społecznego, przedstawionych w dwóch światach, pod strzechą rodzinną i pod kopułą zaczarowanego pałacu, czy też wprost podziwiać będziemy, wspaniałe jej typy, jako pyszne posągi, dumnie na swoich podstawach stojące, lub też dopatrzymy nauki życiowej, w cudnych, żywych obrazach podanej, przyznamy jednakże jednogłośnie: że Poganka z tylu postaci, wykutych ręką niewieścią w XIX wieku, jedna, długie wieki jeszcze, stale zajmować będzie wzniosły piedestał.

OSTATNIE MARZENIE.

Nieznany wiersz

Stefana Garczyńskiego. (*)

Jakżeż gwar ten odwieczny — to ciągłe klektanie,
Duszę moją usypia i każdą myśl nudzi —
Jeden prawi nowiny — ów autorów zdanie;
Ten znów jako plotkarz, jest najpierwszym z ludzi!

Każdy w dowcip na cudzy rachunek bogaty!
Temu tu wszystko było drwinką na tym świecie,
I choć włos już osiwiał pośród czasu straty,
Wciąż się cieszy, że żyje — wciąż błazeństwa plecie!

Uciekam od tej zgrai — opuszczam nudziarzy —
I z nimi ton wykwintny — społeczeństw pokoje;
Wszakże o wasze zdanie bynajmniej nie stoję,
Dajcie mi wytchnąć tylko, język niechaj gwarzy!

Jakżeż dzień ten okropnie, jakżeż nędznie spłynął...
W męczarniach torturowych spędziłem godziny;
Dzięki Bogu, że przecie już nakoniec minął —
I że znowu mą myślą jestem u jedynej.

Tak strumyk ów maleńki, który na dół płynie,
Czując swe przeznaczenie drogę swą otwiera;
Wszędzie mrucząc, przez wszystkie skały się przedziera,
Aby wpaść w rzekę wielką — w której nędznie ginie. —

Gwar mnie już nie przeraża — już nie rani ucha —
Mogę westchnąć, pomyśleć, zapłakać do woli —
Nikt na mnie już nie patrzy — nikt mnie nie posłucha,
Lub szydersko nie spyta, czy mnie serce boli?

Jeśli w wiosennej porze i w szczupłem korycie,
Trudno rzekę zatrzymać, której tają lody,
Trudniej w nudach przyjętych zagwoździć swe życie,
Gdy myśl woła spoczynku — czucia wzbiorą wody!...

Spoczynku? tak, zapewne, chciałbym spocząć sobie,
Ale próżne wzdychania — myśl moja nie spocznie!
Taki wyrok śpiewają istnienia wyrocznie,
Tak wróży miłość smutna, której koniec w grobie!

Samotności ja żądam i więcej nie pragnę,
Chcę, aby skrycie ogień życia serce palił —
Aby głos mej rozpaczy powietrzu się żalił,
Dość szczęśliwy, gdy echa do odśpiewu nagnę!

Gdy sam w sobie zamknięty — daleki od świata —
O miłości rozmyślam, o Alinie marzę —
Kiedy pamięć szczęśliwa wystawi ołtarze,
A myśl z serca łańcuchów pierścień ślubny splata.

Gdy księżyc lampę naszą hymenu zapali —
Gwiazdy za świadki stoją — a łza ręce wiąże —
Gdy wzdychanie zaśpiewa — dzwon bije mych żali,
I marzeniem nadziei po przyszłości krążę.

Kiedy sen pożądany w małżonki postaci,
Przyjmuje słabe ciało miłości uściskiem,
Gdy czuję, że jej serce wzajemnością płaci...
Chociaż zdziczonych marzeń, staję się igrzyskiem.

Choć mnie zimna przeciwność wnet do łez obudzi —
Jestem przecież choć chwilę najszczęśliwszym z ludzi!
Albo, gdy pośród burzy na wolność wypadam,
Gdy z deszczem łzy rzęsiste z oka się wyleją,

Gdy bełgocąc na pamięć wyrazy jej składam —
I wiatr wyć rozpoczyna — pioruny się śmieją —
Ja wtenczas śpiewać lubię! W rozhukanem niebie
Słyszę głos mego życia i poznaję siebie!

* * *

(*) Wiersz ten został nam zakomunikowany przez p. J. H. Rychtera, który w ostatnich czasach wiele nieznanych utworów naszych nieżyjących poetów wydobył z ukrycia. *(Przyp. Red.)*

Ale dokąd ten zapał wyobraźni dąży?...
Czyż dla mnie, nigdy słońce zbawienne nie wschodzi?
Patrz, jak pięknie przyświeca! Dla mnie, cień roz-
[wodzi!..!
Boć miłość moja dotąd, tylko w widmach krąży!

Z rana chociaż cień wielka postaci nie mierzy,
Jak ona z razu tylko mocno mnie dotknęła,
Ale kiedy dwunasta wybije na wierzy,
Słońce postać mą bierze — ona serce wzięła!

Wieczorem olbrzym ze mnie! myśl w otchłań rzucona,
Próżno miłość odpycha w swej błędnej niemocy,
Cień się coraz powiększa, już i myśl zgubiona —
A ja szukam pociechy w smutnym grobie mocy!

W grobie! tam ją wynajdę — czuję jak umieram —
Jeszcze serce w konaniu mą Alinę goni —
Ta łza jeszcze dla ciebie! ostatnią ocieram —
Ale patrz! żyję znowu!... ona łezkę roni!...

I znów płakać zaczynam — nowe łzy wylewam,
I w nowym marzeń biegu serce duszę nęci —
Przynajmniej nie bądź skałą i gdy tobie śpiewam,
Nie czekaj mojej — niech łza wiersz poświęci!

1829 r.

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

(Dalszy ciąg.)

VI.

W obszernym pokoju było zgromadzonych kilkunastu mężczyzn. Pokój wyglądał na bióro. W środku stał stół duży pokryty zielonem suknem, dokoła krzesła, pod jedną ścianą szafa z książkami, pod oknem biórko zawalone aktami, nad wygodną kanapą, w złoconych ramach, portret Franciszka Józefa I.

Była to sala posiedzeń rady powiatowej i bióro marszałka zarazem.

Zgromadzeni szeptali coś pomiędzy sobą, grupując się po kilku. Szlachta rozprawiała najgłośniej, księża ciszej, a chłopi, których było czterech, stali w kącie koło pieca, milcząc zupełnie. Czynili to dla przyzwoitości, bo jakżeżby śmieli rozmawiać ze sobą w obecności panów! Dość było się odezwać, gdy wprost do nich kto zwrócił zapytanie, np. pan marszałek rady.

Pan marszałek był to człowiek chudy, wysoki, dziwnie łagodnego oblicza, chociaż rysy twarzy miał ostre, wyraziste.

— Panowie, czas ucieka — odezwał się — jesteśmy w komplecie, możeby rozpocząć sesyą?

— Nie, nie — zawołano — czekajmy na pana Zagórskiego.

— Ależ mamy dziś bardzo wiele spraw do załatwienia...

— Damy sobie radę, niechno tylko pan Alfred przyjdzie.

— Co to się stało, że go dotąd nie ma?

— Zdaje mi się, że już przed pół godziną widziałem jego konie.

— To być nie może, taki punktualny...

Otwarły się drzwi, a w nich stanął Zagórski.

— O wilku mowa...

— Przepraszam łaskawych panów, niezmiernie ważne sprawy zatrzymały mię, najmocniej przepraszam.

Przystąpił naprzód do marszałka, potem witał szlachtę, księży, nawet chłopom podawał rękę, ściskając silnie i pytał o zdrowie „panów kolegów”.

Panowie koledzy w siermięgach, urośli nagle. Twarze ich rozpromieniły się. Ten i ów chciał jasnego pana pocałować w rękę, ale „jasny pan kolega” nie pozwolił na taką oznakę czci.

Zaczęto sesyą załatwieniem drobnych spraw bieżących. Robota szła szybko, zgodnie. Po godzinie dopiero przystąpiono do najważniejszej kwestyi.

Pomiędzy rządem, a władzami autonomicznemi zaszło nieporozumienie w sprawie budowania pewnej drogi. Powiat miał i tak wiele wydatków, a tu kazano płacić na rzecz, która powinna być załatwiona przez rząd. Spór trwał od dawna; wnoszono skargi i rekursa, jak się to zbyt często w Austryi dzieje, a ostatecznie sprawa nie postąpiła ani na krok.

Z pośród członków rady, zabrał głos pan Bronikowski.

— Nie potrzebuję szanownym panom objaśniać sprawy i jej przebiegu, znacie ją, zdaje mi się dokładnie. Obecnie chcę tylko zwrócić uwagę na ważną okoliczność, którą pod opinię i głosowanie panów poddaję. Prawo słuszności jest po naszej stronie. Rząd wiedeński zobowiązał się dawniej, dziś zaś cofa się i korzysta z ogólnej ustawy krajowej. Sądzę, że ustawa zobowiązań nie znosi, a my jesteśmy w tem położeniu, iż nie możemy i nie powinniśmy się ani na krok cofnąć. Fundusze nasze są szczupłe, z trudnością przychodzi nam pokryć z nich najpotrzebniejsze wydatki. To samo dzieje się w całej Galicyi. Otóż zarówno w własnym interesie, jak dla przykładu innym, nie powinniśmy ustąpić i słuszności będziemy bronili do ostatka.

Nikt głosu nie zabierał.

— Proponuję tedy, ażeby dla poparcia naszej sprawy wysłać deputacyę do Wiednia, któraby użyła wszelkich środków, do przechylenia wyroku na naszą korzyść.

— Wniosek ten poddaję pod dyskusyę — odezwał się marszałek.

Obecni spoglądali po sobie — jakoś nikt nie chciał być pierwszym.

Włodzimierz Chodecki, który także do rady należał, widząc, iż nikt ze starszych głosu nie zabiera, odezwał się:

— Nie mogę przesądzać znaczenia, jakie ma milczenie panów, nie wiem, czy ono jest dowodem, iż sprawa ta nie podlega nawet dyskusyi, co do mnie, godzę się najzupełniej na zdanie szanownego mówcy i jeśli nikt się temu nie sprzeciwi, proponuję głosowanie nad wnioskiem...

— Proszę panów — przemówił któryś ze starszych obywateli — gdyby to można wiedzieć, jak się na to będą zapatrywali w Wiedniu...

— Jakto pan rozumiesz? — zapytał pan Bronikowski.

— A no, czy się nie pogniewają na nas...

W tej chwili zapukano do drzwi. Alfred spojrzał w tę stronę:

Wszedł posłaniec z telegramem.

— Do pana Alfreda Zagórskiego...

Wziął spiesznie depeszę, rzucił na nią okiem i schował do kieszeni.

Po tej chwilowej przerwie odpowiedział p. Bronikowski swemu sąsiadowi.

— Jeśli się pan obawiasz, ażeby się nie pogniewano na nas w Wiedniu, to lepiej zapłacić z góry kilka tysięcy w tym wypadku, a na przyszłość robić to samo na pierwsze skinienie pana ministra, słusznie czy nie, ale wówczas pewno się nikt gniewać nie będzie...

— Szanowni panowie!—przemówił Zagórski — odkąd mam zaszczyt zasiadać w waszem gronie, starałem się zawsze iść z większością ręka w rękę, bo uznaję, że solidarność w naszem właśnie położeniu jest pierwszą rękojmią zachowania bytu i tych swobód, którymi nas tron obdarzył. Szanuję zawsze i wszędzie doświadczenie tak zacnych obywateli i daję mu nieraz pierwszeństwo przed własnymi zapatrywaniami — ale tam tylko, gdzie sprawa większej wagi, gdzie prowincya na tem nie ucierpi. Są wszakże położenia, w których wszelkie sympatye muszą ustąpić w obec głosu wewnętrznego, wołającego: stoisz na straży wielkich interesów krajowych, jesteś w obec władzy przedstawicielem i zastępcą tych, którzy cię zaszczycili wyborem. W takich wypadkach milczeć nie wolno. Sprawa, o której mowa, należy bezwarunkowo do niezmiernie ważnych. Pojmuję, że panowie troszczycie się o majątek, którego jesteśmy administratorami, biada temu ktoby go chciał roztrwonić, lub czynił to chociażby tylko bezmyślnie. Więc pod tym względem zgoda z szanownym wnioskodawcą. Ale jest jeszcze wzgląd inny, ważniejszy. Polityka naszego zakątka, musi się stosować do potrzeb nie naszych własnych tylko, lecz całego kraju, a Galicya ma sprawy o wiele ważniejsze, aniżeli nasz powiat. Jeden krok fałszywy może zaszkodzić nie nam samym, lecz prowincyi całej. Powiedzcież, panowie czy godzi się nam występować z pretensyami tam, gdzie się toczą walki o miliony. Wywierać presyę na rządzie w rzeczach drobnych, znaczyłoby to zniechęcać go do kraju całego, a czyż my mamy prawo to uczynić?...

Mowa zrobiła wrażenie.

— Przepraszam łaskawego mówcę — odezwał się Bronikowski — ale zdaje mi się, że przesadził trochę doniosłość naszej sprawy i jej wpływ na interesa, jakie Galicya ma w Wiedniu...

Alfred spojrzał po zgromadzonych, widział, że słowa jego silniesze są od tego, co sędziwy obywatel mówił, uśmiechnął się nieznacznie, poprawił wąsa i wolno przemówił:

— Wybaczam przymówkę, gdzie o kwestye ważne idzie. Odpowiedź moja prosta: Od lat dziesięciu zajmuję się żywo interesami kraju naszego, a o tem co się robi w Wiedniu chyba wiem najlepiej i ta właśnie świadomość spraw daje mi prawo do oponowania panu...

— Ale rozstrzygnięcie należy do szanownych kolegów.

— Nie narzucam mego zdania; mam zresztą wiarę silną w dojrzałość polityczną obecnych tu obywateli; od pana krociowego począwszy, a skończywszy na kmiotku, więc nakłaniać do niczego nie potrzebuję. Kto kraj i jego przyszłość ma na pamięci, ten nie poświęci jego interesów, dla chwilowej korzyści zaścianka...

Słowa te przyjęto głośnym aplauzem.

Rozpoczęła się formalna kampania parlamentarna, podczas której Zagórski po raz pierwszy wystąpił z niesłychaną energią; zdawał się rość

w siłę i gromił poważnego obywatela co raz zaciętej. Po raz pierwszy przybrał ton stanowczo mentorski. Kiedy mu pan Bronikowski zarzucił niedoświadczenie, odpowiedział z uśmiechem ironicznym:

— Pociski tego rodzaja nie obrażają mnie, bo wiem, że kto w imię prawdy walczy, musi być na nie narażony. Co zaś do prawa przemawiania tak stanowczo w kwestyi tak ważnej, to dwojakie ono jest: raz zaufanie współobywateli, które sobie najwyżej cenię, ono mi dodaje sił, powtóre śmiem przypomnieć szanownemu panu, że się długo i wiele uczyłem. Odbyłem najlepszą szkołę polityki, tam, gdzie się interesa naszej prowincyi rozgrywają. Czuję się przeto silnym i nie ustąpię nikomu, tam, gdzie będę bronił spraw doniosłych i moich współobywateli...

Ostatecznie zwyciężył.

Z wyjątkiem marszałka, Bronikowskiego, Chodeckiego i dwóch jeszcze członków rady, wszyscy unosili się nad mową Zagórskiego. Wychwalali go pod niebiosa i tegoż dnia pojechali do Strzałkowa na obiad.

Alfred miał czas wysłać depeszę do Wiednia pod adresem hrabiego R*. Zawierała ona te tylko wyrazz: „niebezpieczeństwo zwalczone, stanowcza wiktorya". Była to odpowiedź na telegram, który Alfred dostał podczas posiedzenia rady. Hrabia R* uwiadomiony o zamiarze wysłania deputacyi do Wiednia, polecił Zagórskiemu użyć wszelkich starań, aby do tego nie dopuścić.

Podczas obiadu w Strzałkowie, spijano toasty liczne. Szlachta zachwycona była Alfredem.

— Robię, co mi sumienie obywatelskie nakazuje. Dla kraju, dla was, gotów jestem na wszystko. W tym nawet wypadku, jeśli panowie zechcecie mi zaufać, może coś zrobię w Wiedniu.

— Ależ zbawco nasz, rób z nami co chcesz, my ci ufamy najzupełniej.

— Dziękuję. Mam bardzo liczne stosunki w stolicy i porobię starania, ażeby rząd ustąpił swych pretensyi...

— Zdrowie najukochańszego pana Alfreda!

— Zdrowie naszego przyszłego posła!

— Żeby tylko rychło utworzył się wakans na nasze krzesła...

Alfred dziękował, a w duszy rad był, jak nigdy.

Buta, a bodaj czy nie arogancya, z jaką wystąpił przeciwko panu Bronikowskiemu, zdobyła mu jeszcze żarliwszych stronników. Dlaczegoż nie miałby iść dalej tą drogą? Widział, że jego nauka imponuje poczciwym, ale nie uczonym sąsiadom.

Błogosławił więc chwile poświęcone nauce i zdawało mu się, że to była nauka istotna. Nie widział żadnej różnicy pomiędzy sobą, a prawdziwie uczonymi, których w życiu spotykał, którym składano zasłużone hołdy. Dlaczegożby i on nie miał ich zbierać?

Pragnął piąć się coraz wyżej.

— Alboż nie uczyłem się więcej aniżeli ci wszyscy? — myślał, patrząc na zarumienionych sąsiadów. Pod wpływem tych myśli, odpowiedział na toasty:

— Dwadzieścia lat nauki i pracy oddaję na usługi kraju!

— Niech żyje! — huknął mały, zamaszysty sąsiad.

— Wiwat, wiwat! — krzyczano, jakby na powitanie bohatera.

Późno już w noc zaczęto się rozjeżdżać do domów. Nie czapką, nie papką, nie solą, ale tęgiem winem skaptował sobie Alfred sąsiadów do reszty. Ściskali go, całowali i zaklinali się, że mu we wszystkiem będą pomagali, że go muszą jeszcze zobaczyć marszałkiem Galicyi.

Alfred czuł prawdę w ich słowach; znał już do tyla tę poczciwą szlachtę, że jej słowu ufać można, jak ewangelii.

Zostawszy sam, nie mógł usnąć. Myśli, a może i wino, kłębiły mu w głowie. Usiadł tedy do biórka i zaczął pisać list do hrabiego R*. Opisał przebieg sprawy, prosił o dalsze dyspozycye i wytłomaczenie żądania.

„Chciałbym wiedzieć, jaki był istotny powód, dla którego kochany hrabia kazał zapobiedz wysłaniu deputacyi. Zawsze będę wam posłuszny, lecz objaśnienie to może dla mnie być dyrektywą w dalszem postępowaniu. Z moimi sąsiadami zrobię co zechcę. Oponenci są w mniejszości, reszta z kościami poczciwa i da się kierować bez trudu..."

W kilka dni potem otrzymał taką odpowiedź:

„Kochany panie Alfredzie! Dzięki za powolność mojej prośbie, którą ci przysłałem dla twego dobra. Całą tę sprawę waszego powiatu, załatwię tu na waszą korzyść, ale szło właśnie o to, aby nie deputacya, lecz ty to zdziałałeś. Czy mię teraz rozumiesz? Rezultat sprawy ogłosimy dopiero wtedy, gdy będzie potrzeba — darmo takich rzeczy się nie robi. Obiecuj, a proś, aby tobie rzecz całą oddano... Będą ci winni wdzięczność. Trzymaj się na stanowisku, jakie zająłeś, wkrótce pójdziemy dalej..."

Alfred naturalnie zrozumiał i stosownie usposabiał kolegów w radzie powiatowej.

Ale od czasu tego zmienił się bardzo. Nie było posiedzenia, ażeby nie przemawiał energicznie, powtarzając, że tam, gdzie idzie o dobro współobywateli, nikomu ustąpić nie może. Adherenci potakiwali mu i za jego wnioskami głosowali; projekt, któremuby był przeciwny, musiał upaść.

Pewnego razu napomknął pan Bronikowski, że ta troskliwość o dobro Galicyi już ich dotąd kosztuje kilka tysięcy w owej sprawie drogowej.

Alfred oburzył się.

— Jeszcześmy nie zapłacili!

— Ale zapłacimy... dla dobra kraju.

Powstał Zagórski, powiódł okiem po sali, zmierzył swego przeciwnika i przemówił zimno i wyniośle:

— Nie pierwszy to raz doznaję niechęci, szanownego pana, ale przypominam, iż broń to wcale ani stosowna, ani godziwa. Nie jestem tu wyrocznią, rzecz każda musi przejść przez głosowanie, więc uchwała jest dziełem większości. Proszę o tem nie zapominać. A jeśli szanowni koledzy idą za moim głosem, to mi tylko zaszczyt przynosi i staje się bodźcem do kroczenia dalej po obranej drodze... Co zaś do sprawy, której byłem rzecznikiem, to oświadczam stanowczo, że jutro wyjeżdżam do Wiednia i wrócę dopiero z wyrokiem dla naszego powiatu przychylnym. Mam pewne wpływy, które bardziej poskutkują, aniżeli deputacye... Dla przerwania zaś dalszych przemówek pana Bronikowskiego, daję w zakład mój majątek, że albo sprawę wygram, albo sam za powiat nasz zapłacę...

Zrobiła się formalna awantura. Obywatele przepraszali Alfreda za przykrości, których doznawał, stając w ich obronie, błagali; aby nie wyjeżdżał, alę on uparł się i istotnie wyjechał. Od Bronikowskiego odwrócili się nawet dawni jego przyjaciele.

— Występować przeciwko takiemu człowiekowi, jak Zagórski, toż to zgroza! Gotów się pogniewać i nie wrócić tak rychło...

VII.

— Świetnie mi się spisujesz, kochany Alfredzie — mówił hrabia R* do Zagórskiego, podczas wielkiego rautu.

— Hrabia wie, że mu zawsze jestem powolny...

— Ba, takich znalazłbym wielu, ale ktoby potrafił dać sobie radę z tą waszą szlachtą?

— Szlachcic!

— Naturalnie, tylko, że tam u was, aby mieć mir, trzeba siać hreczkę, podkręcać wąsy sumiaste a siwe i brzydzić się francuzczyzną, pogardzać hrabiami, których się nie zna.

— Tak źle nie jest — mówił z uśmiechem Alfred — najlepszy dowód, że mnie się powiodło.

— Bo masz głowę tęgą i znasz swoich sąsiadów doskonale.

— Dobra piwnica ułatwia poznanie.

— Nie wyszafuj jej tylko zbyt prędko, będzie jeszcze potrzebną na ważniejszą chwilę...

— Pamiętam o tem.

— A nie wiesz może, że ta chwila już się zbliża...

— To znaczy?

— Wkrótce ustąpi poseł waszego okręgu.

— Ależ to człowiek młody.

— Tylko, że na twoje szczęście jest starostą, zabierzemy go do ministerstwa...

— Ależ hrabia jesteś cudotwórcą!

— To *pro publico bono...*

— W takim razie trzeba mi wracać do kraju.

— Przeciwnie, posiedź trochę w Wiedniu, donieś o załatwieniu tej sprawy drogowej, od której zawisły losy Europy, a zresztą rób co ci się podoba.

— Możeby lepiej pilnować moich sąsiadów?

— Niech trochę za tobą potęsknią, to nie zaszkodzi.

W drugim salonie grono mężczyzn otaczało hrabiego Z*.

— Cóż hrabia na to, że będziemy mieli wkrótce nowego posła w sejmie?

— Jeszcze to nie pewne.

— Przeciwnie, starosta X. w tych dniach już zostanie powołany do Wiednia, musi więc zrezygnować z krzesła, a wtedy wybór Zagórskiego stanie się faktem.

— To bardzo miły człowiek.

— Hrabia R* go proteguje.

— Ale to jeszcze nie racya — odparł hrabia Z* — ażeby go inni mieli protegować.

— Hrabia nie należysz do zwolenników Zagórskiego?

— Wyznaję to otwarcie. Wolałbym na jego miejscu kogoś doświadczeńszego, stateczniejszego.

— Ależ to chodzący statek.

— Pusty!

— Ej hrabio, zaczynasz zagrażać naszej solidarności.

— Tylko liche głowy idą kupą, nam wystarczą jednostki, byle dzielne.

— Jeden głos w sejmie, to dla nas wielka zdobycz, dotąd tam jeszcze mało mamy wpływu...

— Marszałek pierwszy nie należy do naszych.

— Róbcie panowie co chcecie, ja moje zdanie zachowam.

— Surowy jesteś hrabio.

— Arystokracya, to znaczy najwybrańsi!

— A toż Zagórskiego wybrał hrabia R* z pośród tysiąca.

— Hrabia R* miewa fantazye, ja znam tylko interes ogólny...

— Nasz...

— Nie! — zawołał hrabia stanowczo. — Tak mówią tylko nasi nieprzyjaciele, tak mogą zresztą sądzić po ludziach tego pokroju, co Zagórski, my powinniśmy wierzyć inaczej. Jednego kroku nie zrobiłem w mem życiu dla własnego tylko interesu i tak powinniśmy czynić wszyscy... Może się mylę, ale Zagórski nie wydaje mi się takim.

— Stoik! — szepnął ktoś po oddaleniu się hrabiego.

— Ale arystokrata najczystszej wody.

W salonie hrabiego R*, było dwóch ministrów, którym gospodarz prezentował Alfreda, nie szczędząc komplimentów.

— Będzie nam miło, ujrzeć pana, choćby w najbliższej przyszłości, w gronie deputowanych...

Od dawna już był przygotowanym do tego poselstwa, a jednak słowa ministrów dziwnie go zelektryzowały. Uczuł szum w głowie i powróciwszy do domu, przepędził noc bezsenną. Był tak dalece roztargnionym, iż nawet nie rzucił okiem na listy, leżące na biórku.

Usnął dopiero nad ranem, wstał koło południa, zaczął przerzucać dzienniki, oglądał listy, ale nie spieszył się z ich czytaniem. A był między nimi list od żony, który poznał po charakterze pisma.

Ziewnął, przeciągnął się w fotelu i czytał plotki i nowiny miejskie.

Znał Wiedeń dobrze, lubiał jego życie wesołe, więc nie dziw, że wiadomostki brukowe i zakulisowe zaciekawiały go. Przypomniał sobie dawne czasy.

Jakże piękne mu się wydawały. Bez troski i bez myśli pędził życie z dnia na dzień, w teatrach, za kulisami, w Volksgartenie...

Uśmiechnął się do wspomnień! Co też teraz może robić ta piękna Lizetka, z którą tyle wesołych chwil spędził? Czy się odmieniła? Czy zawsze taka żywa, pusta, figlarna?...

Znowu uśmiech przebiegł mu po twarzy.

Tak dawno jej nie widział... Od dnia ślubu, to jest lat...

Nie mógł się doliczyć, ale wiedział, że to bardzo było dawno. Lizetta zapewne zawsze otoczona rojem wielbicieli, a on...

Od ślubu dziwne życie prowadził. Zabawy w salonach, zjazdy sąsiedzkie, polityka i rada powiatowa...

Wybuchnął śmiechem.

— Ależ to nie jest życie żadne! Poświęcam się cały dla dobra kraju i poję sąsiadów! Wstyd mi doprawdy, a przecież jeszcze nie siwieję! Ale za to uchodzę pomiędzy moimi sąsiadami za uczonego i najpierwszego męża stanu... wkrótce zostanę posłem...

— To bardzo pięknie — mówił dalej — ale po pracy tak ciężkiej, należy mi się wypoczynek, rozrywka...

A żona?

Ah, prawda, miał żonę ładną; mówił jej kiedyś, że ją kocha...

Wziął do rąk jej list, oglądał go uważnie i znowu położył na stole.

Biedna Amalia, od dwóch lat choruje i rzadko się widujemy. Mnie polityka trzyma w kraju, ona ciągle w kąpielach... Wszak to nie moja wina? Zaśniedzieć już zupełnie nie mogę...

Co też ona pisze—myślał nie otwierając listu— pewno jedno i to samo, chora, powrócić jeszcze nie może...

Tymczasem nudzę się! — zawołał już głośniej.

Pomyślał jeszcze chwilę, potem jakby coś postanowił, zadzwonił na służącego i zaczął się ubierać.

Z hotelu kazał jechać na jedną z odleglejszych ulic; zatrzymał się przed starą kamienicą, wysiadł i zapytał „hausmaistra" o pannę Lizettę...

— Ist weggereist, Herr Graf...

— Dokąd?

— Kann nicht dienen, Herr Graf...

Pojechał dalej, w złym już humorze. Pojechała, a głupi hausmaister nie wie nawet dokąd...

Odwiedził kilku znajomych i powrócił do hotelu. Listy leżały nie rozpieczętowane. Spojrzał na nie z niechęcią.

Gdzieby się dowiedzieć o Lizettę? — myślał. — Ładna była dziewczyna, najładniejsza jaką znałem.

Najładniejsza — powtórzył, a w myśli stanął mu obraz kobiety o pięknych, jasnych włosach i szafirowych oczach.

Zmarszczył się. Był to obraz tej, którą najbardziej, bo pierwszy raz kochał, ale niewdzięczna zażartowała sobie z niego, pojechała z nowym kochankiem do Warszawy...

Lizetkę on porzucił, bo się żenił... To trudno, tak przecię robią wszyscy. Był pewnym, że piękna Wiedenka nie pogniewałaby się na niego, gdyby znów ją spotkał. Ale gdzie ona może być?

Wszedł służący niosąc znowu listy.

Alfred rzucił na nie okiem, znalazł już drugi od żony. Z rezygnacyą rozdarł kopertę i czytał. Na czole jego rysowała się chmurka, coraz wyraźniej i silniej. Automatycznie czytał list po liście, wstał, chodził długo po pokoju i wreszcie wymówił półgłosem:

— Trzeba jechać, tu i tak nie mam co robić; jeszcze jak na złość Lizetka wyjechała...

Wziął kartę papieru i szybko skreślił te słowa:

„Mam słowo ministra, że powiat nasz sprawę wygra, proszę już nie czynić żadnych kroków, za powrotem przywiozę akt urzędowy. Teraz z powodu słabości mojej żony, muszę do niej jechać. Za parę tygodni powracam — proszę zachować w braterskich sercach tego, który wam cały jest i będzie oddany...

„Wszystkich łaskawych na mnie sąsiadów, najuprzejmiej pozdrawiam..."

List ten wysłał pod adresem marszałka powiatu, wiedząc iż on go zakomunikuje zebranym na radę.

Na drugi dzień pojechał do Ischl, gdzie bawiła żona.

Zastał ją bladą, zeszczuplałą, schorowaną do niepoznania.

— Dziękuję ci, żeś przyjechał...

Ujął ją za rękę. Była zimna, wilgotna.

— Tyś chora, bardzo?

— Nie wiem co mi jest, siły znikają ciągle, ale mi nic nie dolega.

— Możebyś pojechała do morza?

— Byłam już cztery razy, nie pomaga.

— Cóż lekarze?

— Każdy radzi co innego.

— Napiszę do Wiednia po którego z profesorów.

— Dziękuję ci; zostaniesz długo?

— Nie wiem jeszcze. Ciągle interesa zatrzymują mię w kraju.

— Powinieneś także wypocząć...

— Alboż to ja mogę, wkrótce muszę się starać o poselstwo do sejmu...

— Musisz? — powtórzyła żona.

— Ależ naturalnie, ty tego nie rozumiesz...

— Owszem, wiem, że masz obowiązki, ale i o sobie nie godzi się zapominać... o mnie...

Pocałował ją w rękę.

— Zostanę, jak długo będę mógł.

— Dziękuję ci.

Przytuliła głowę do jego piersi. Czuł chłód jej dłoni, serce biło niespokojnie, głowa była rozpalona. Dotknął ustami jej czoła, objął ją w pół, ale bez tego zapału, z jakim się przyciska kobietę kochaną, kochającą...

Dla niej, dla chorej, było to może wiele. On czuł litość, ale ten uścisk chorej kobiety przykrym mu był.

Wieczorem wyszedł na przechadzkę sam. Myśli zdawały się go przygnębiać; czuł, że mu czegoś brakuje, lecz nie umiał sobie zdać sprawy, coby to właściwie było. A jednak odgadnąć nie trudno... nudził się.

Czy kochał kiedy swoją żonę?

Chyba nie. Była ładna, młoda, bogata, przez małżeństwo z nią, torował sobie drogę do stosunków, których pragnął — oto wszystko. Ale miłości tam nie było. Wkrótce po ślubie ochłódł, o ile to było możliwem, a teraz... Widok chorej, bodaj czy nie bez nadziei wyzdrowienia, niezmierną przykrość mu sprawiał.

Bezmyślnie rozglądał się się dokoła. Nigdzie twarzy znajomej, któraby go ocuciła z tego odrętwienia, w jakiem się znajdował. Nagle... spojrzał uważniej; zdawało mu się, że... Ale to być nie może — pomyślał, przyspieszając kroku. Przed nim szła kobieta smukła, jak młoda topolka, zgrabna, elastyczna, a figurę miała taką, że oszaleć by można. Takie kobiety spotyka się tylko w Wiedniu.

Za chwilę zrównał się z ową kobietą, minął ją, obejrzał się i stanął jak wryty.

Ona zaśmiała się głośno.

— Ah, Herr Alfred!

— Lizette!

— Co pan tu robisz?

— Lizetta, Lizetta — powtarzał wpatrzony w piękną kobietę.

— Ależ ja, naturalnie, myślałam, że już pana nigdy nie zobaczę, żeś zginął...

Srebrny jej głos dźwięczał mu w uszach miłem wspomnieniem bardzo wesołych dni.

— Zawsze piękna i uśmiechniona!

— Cóż pan chcesz, abym płakała?

— O, nie, nie.

— Dawno pan tu jesteś?

— Od kilku godzin.

— I nudzisz się już?

— Gdzież tam!

— Przyznaj się pan szczerze.

— Gdy ciebie widzę, nie mogę się nudzić.

— A gdybym ja?...

— Gdyby co?

— Gdybym wiedziała, że się nudzisz i nie chciała na to nic poradzić?

— Złą nigdy nie byłaś, ale zkąd wiesz, że chcę, abyś mię trochę rozerwała?

Odpowiedziała mu śmiechem.

— Pozwolisz sobie towarzyszyć?

— Owszem; Wiedenki nie są zawzięte, chociaż nie zasłużyłeś pan na przebaczenie.

— Moja piękna Lizetko!

— Tak, tak, dlatego, że Lizetta piękna, to się do niej wraca?...

Szeptał jej słodkie słówka, ona śmiała się głośno i tak przechadzali się dość długo.

— Pójdźmy na kolacyę Lizetko.

— Chodź do mnie, każemy przynieść do domu.

— Ależ i owszem — zapomnimy o gniewie i długiem niewidzeniu się...

— To się pokaże!

Poszedł z Lizettą do jej mieszkania. Było urządzone wykwintnie, atmosfera rozkoszy wiała z każdego kącika.

Po doskonałej kolacyi był Alfred już w różowym humorze. Rozparty ne wygodnej kanapce, palił cygaro i z uśmiechem na ustach spoglądał na swą towarzyszkę, której czarne oczy świeciły jak dwa karbunkuły.

Siedziała tuż przy nim, woń jej warkoczy upajała go.

— Wiesz Lizetko, mnie się zdaje, żem cię po raz ostatni widział wczoraj.

— A mnie...

— Co?

— Nie powiem, bo nie chcę ci psuć humoru — pomyślała zaś: jesteś takim, jak wielu mężów w kilka lat po ślubie.

Bawiła się, lecz nie szanowała takiego człowieka.

Alfred ani się domyślał sądu Lizetki.

— Masz racyę, dziś nasze, a humor to złota rzecz.

— Tylko ty masz więcej złota, aniżeli humoru.

— Przy tobie, stanie się przeciwnie!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z literatury czeskiej.

Vrchlicki Jarosław. „Duch a sviet" w przekładzie Miriama. Warszawa, nakładem T. Paprockiego i S-ki.

Poezya czeska coraz świetniej się rozwijając, zajmuje w tej chwili w literaturze słowiańskiej najwyższe stanowisko, o czem świadczą takie talenta jak Nerudy, Świętopełka Czecha, a nareszcie poety, którego utwór mamy przed sobą, Vrchlickiego.

Przed paru laty Tygodnik nasz pomieścił o nim studyum, pióra p. S. Duchińskiej, streszczający jej odczyt, miany o tym poecie w Paryżu.

Odtąd jednak sława jego wzmaga się z dniem każdym. Co rok daje swoim współziomkom nowe tomy pieśni, tak, że w ciągu lat dziesięciu wydał przeszło 12 tomów poezyi lirycznych, 9 epicznych, 4 dramatów i komedyi oryginalnych i wreszcie 10 przekładów poetycznych. Oprócz tego jest jeszcze wiele rzeczy dotąd nie wydanych, bądź też znajdujących się pod prasą.

Taka, można powiedzieć, szalona twórczość, musiała zwrócić na siebię uwagę inteligencyi europejskiej, a my, może wcześciej, niż inni, wglądaliśmy w te księgi zaczarowane i przysłuchiwali ich pieśniom, które płyną pełnym strumieniem, zachwycają swą pięknością czytelnika.

Nie łatwo wszakże wywiązać się z krytyki tego poematu. Oderwany tytuł „Duch i świat" najlepiej o tem świadczy, gdyż w tych dwóch wyrazach ukrywa się cała potęga myśli, cała wszechświatowa zagadka. Duch, jest przedstawicielem moralnej, oderwanej cząstki życia, świat zaś reprezentuje materyą organiczną.

Przypatrzmy się szczegółom tego dzieła, a to nam ułatwi jego poznanie.

Całość podzielił poeta na cztery części, rozpoczynając je „prologiem", a kończąc „epilogiem".

W prologu, pod tytułem „Wieki", zapytuje czem jest czas, a czem my w obec jego siły głębokiej, niezmierzonej?

Powiedz, czem myśmy w tworzeniu twem stałem?
Czy na zegarze twoim sekundami?
Czy kroki dzieł twych, co za ideałem —
W wiecznej pogoni snadź znaczyłeś nami?

Czyśmy naczyniem tylko były próżnem,
Które wciąż człowiek napełnia, jak czarę
Mlekiem mądrości, winem szałów różnem,
By niczem będąc, snuć wielkości marę?...

Pierwsza część poematu zatytułowana: „Odgłosy prawieków", obejmuje ośm pieśni, w których autor, trzymając się przedewszystkiem podań biblijnych, opowiada: "Stworzenie", opisuje „Ziemię", „Kometę", „Anioła", wreszcie „Pierwszą ofiarę", „Tęczę" i „Myt".

Nie możemy przemilczeć o niektórych ustępach tego poematu, cisnących się pod pióro, one dadzą nam najlepsze wyobrażenie o potędze myśli i formy, któremi nas Vrchlicki wprowadza w zdumienie.

Anioł Ahaswar zadumany patrzy na piękną ziemię i lubuje się i tęski za nią, bo zostawił tam swoje bóstwo... kobietę! Jakże pięknie i głęboko pojął i określił ją Vrchlicki:

Raj zorzą świateł w różanym lśnił mroku,
Z ptakami gwarzył las, drzemała skała,
Gdy w perłach rosy i ze łzami w oku
Pierwsza kobieta przed Adamem stała.

Na ustach uśmiech, we wzroku wahanie,
W słodkiem przeczuciu chyliła się, drżała,
Jak przed miesiącem chmurki, niespodzianie
Purpurá biegła przez alabastr ciała.

I stała przed nim, jak jasne zaranie,
Gdy białe mgły się wznoszą z nad strumyków,
Jak myśl, gdy w sercu błyskawicą wstanie,
W różanych woniach i śpiewie słowików.

I stała przed nim, a mąż drżał w pokorze:
Patrzył, jak w oczach jej lśnią gwiazd odbicia,
I pytał w strachu: „Czy prochem być może
To ciało, w którem śpi zdrój wszego życia.

I upadł, cisnąc w objęciach jej ciało,
Szczęście przestało już być dlań zagadką,
Z ust jego: „bądź mym bogiem", hymnem [brzmiało,
A z ust przyrody, jak echo: „bądź matką".

Bezpośrednio z tym motywem łączy się drugi: „Pierwsza ofiara". Kain spełnił zbrodnię i czuje wyrzuty sumienia straszne. Chce umrzeć, chce zginąć, ale mu żyć w tej zbrodni przeznaczono, więc woła z żalem straszliwym:

— No Boże, chcesz, to przemów gromem!
Masz tu, szakalu, łup twój — wyj!
Tam w trawie gdzieś pod skalnym łomem,
Leży mój straszny, gruby kij.
Lśni na nim krew, śmierć w nim ukryta,
Raz pierwszy mętnem okiem wita
Ten wielki, piękny, śpiący świat:
Nuż, jeśliś Bogiem, jak rodzice
Mówią, — rzuć straszny grom w jej lice
I zatrzej po niej wszelki ślad!...

„Ośm legend średniowiecznych" obejmuje dzieje chrystyanizmu, jego wzrost i najpotężniejsze momenta.

Smutny jednak jest ich początek bo oto na pierwszym kroku spotykamy przerażającą „Twarz Judasza". Rzecz straszna i piękna zarazem, zwłaszcza w chwili, kiedy Judasz waha się, czy ma zdradzić za pieniądze chrześcian i Mistrza:

„Sto złotych monet temu Cezar dawa,
Kto znajdzie wejście w te czarne pieczary,
Gdzie chrześcianami zwanej stek gawiedzi
W nocy jej Bogom czyni różne czary.

Rzym chce się bawić, cały naród siedzi,
Już w cyrku huczą groźnie jego fale,
Cezara nuda męczy, głód — szakale;
Zaradzić temu wszystkiemu — w twej mocy.

Idź, odkryj wejście, przyjdź tu z wojskiem [w nocy,
A wnet zbogacisz się! Twa czasza wina
Wciąż pełną będzie — w niej się zapomina
Zdradź chrześcian!"

On się jeszcze waha, stoi:—
„Kup kurtyzankę, która cię upoi
Swoim uściskiem; wszystko ci się śmieje,
Idź do areny, patrzaj, jak szaleje
Ten kolos wielki, który zwie się Rzymem,
Idź się upoić winem, szynków dymem,
Rzuć post, modlitwy; to się znudzić musi!
Zdradź chrześcian! Ciężkie powietrze tu dusi,
To nie jest życie, to jest pleśń grobowa!
Idź, hulaj..."

Długo stał, nie mówiąc słowa,
Nagle się porwał. Zrywa z chrześcianami,
Zdradzi ich! Idzie pomiędzy trumnami...

Piękną jest „Legenda o antychryście", zdumiewającym „Posąg" umieszczony w klasztorze, a przedewszystkiem czarujące i prawdziwe „Kłosy biedaków":

Dzień był ciężki; na boisku
Tysiąc martwych muzułmanów,
Zmrok, przez łańcuch gór Newada
Wraca król z orszakiem panów.

Nad nimi się we mgle gubią,
Jakby wieże, gór korony.
Trzeba jechać nad odchłanią,
Gdzie muł staje przestraszony.

Tu i owdzie, obok drogi,
Na gór stoku, tuż koło niej,
Wązkie pasy pól górali,
W składach leżą, jakby w dłoni.

Małe pólka, biedne pólka,
Kłoski nędzne, suche, czarne...
Król z drużyną galopując,
Przez te pola jedzie marne.

Ale Cyd, — ten nad przepaście
Jedzie tuż nad samym stokiem;
Jak na ostrzu noża jedzie,
Okrążając pole bokiem.

Bacznie każdy kłos wymija,
Który sterczy z pól na drogę,
Przez odłamy, przez potoki,
Gdzie muł ma postawić nogę.

Z pola król na Cyda woła:
„Toć krok jeden — pewna zguba —
W przepaść wpadnie postrach Maurów,
W przepaść wpadnie kraju chluba."

Rozgniewany Cyd odpowie,
W oczach wściekłość mu się żarzy:
„Jak ma w takiej być ziemicy,
Gdzie sam król tak gospodarzy!...

By zachować nędzne życie,
W polu kłosy biednych gniecie.
By król jeździć mógł wygodnie,
Wieśniak może cierpieć przecie?

Wierz mi królu, Bóg mi świadkiem,
Święty Jakób, wszyscy święci,
Więcej, niż stu królów, jeden
Kłos biedaka wart pamięci."

Następnie rozpoczynają się kwestye najnowsze, zatytułowane „Zagadkami" a raczej „Zagadnieniami".

Im bardziej zbliżamy się do naszych czasów, tem więcej te kwestye stają się zajmującemi. Oto co np. w motywie „Ostatni kłos" poeta powiada.

Widziałem ludzkość, jak ją fala niosła
Na błędnych drogach bez żagla i wiosła;
Słyszałem płacz jej w mroku przeszłych czasów,
Gdy jej nadzieja padła, wiary siła,
Widziałem, jak wśród wściekłych tych zapasów,
Naga pierś brata puklerzem jej była.
Ta straszna walka!—Jak i w czem się skończy?
Patrz niebo w krwawej zachodu opończy,
Jak nam do zguby drogę opromienia!
Słuchaj, jak szumią wichry, morskie fale,
Patrz na człowieka, który wątpi stale
I próżno szuka drogi do zbawienia!
Czego chce wiek nasz? Tu mrą i marzenia,
Tylko nadzieja wiecznie opowiada:
Że przyjdą kiedyś szczęsne pokolenia,
Którym się spełni baśń o złotej doli,
Że kiedyś starzec krzyż wyorze z roli
I Chrystusowi na skronie skrwawione,
Zamiast cierniowej, da z kłosów koronę....

Duch Vrchlickiego potężny, obejmuje cały świat, jak czarę z której płynie złoty napój, bo ziemia daje życie, a życie może tylko istnieć tam, gdzie jest wolność i swoboda. Pod bryłą kamienia, pod skałą nie wyrośnie zielona gałązka oliwna, ani kwiat piękny.

Takim jest pogląd poety myśliciela, dotykającego głębokich zagadnień. Jest to zapewne jedyny punkt wyjścia przy dzisiejszym stanie oświaty. Co do estetycznych stron poematu, to i z tych szczupłych urywków można powziąć pewne wyobrażenie o utworze głębokim, pełnym pięknych myśli, obfitującym w przecudowne zwroty. Należy się słuszne uznanie tłomaczowi, za gorliwe zajęcie się przyswojeniem literaturze naszej, chociaż niektórych utworów tego mistrza poezyi. Miriam tłomaczy dobrze, a nawet w bardzo trudnych motywach i zwrotach, umie sobie radzić z wielką łatwością.

Utwór Vrchlickiego, oprócz wykwintnego stylu, posiada jeszcze głęboką filozoficzną myśl. Autor-poeta idzie w tym kierunku, którego przedstawicielem u nas był Zygmunt Krasiński w „Irydionie", „Nieboskiej komedyi" i „Niedokończonym poemacie". Tylko, że Krasiński skupiał się w pewnych granicach, Vrchlicki zaś rozpuszcza skrzydła swojej fantazyi i chce stanąć na stanowisku bardziej jeszcze ogólno ludzkiem. Tłomacz więc musiał walczyć na każdym kroku z trudnościami niemałemi, lecz zwalczył je zwycięzko. I oto przybyło literaturze naszej dzieło wartości niepospolitej.

Uznając pożyteczność tej pracy, mamy prawo spodziewać się, że Miriam, dalej pójdzie na obranej drodze i dopomoże nam do poznania arcydzieł pobratymczej literatury.

Szczególniej zaś idzie nam o utwory poetyczne, których tłomaczenie wymaga talentu specyalnego, a taki właśnie Miriam posiada.

Z pod naszej strzechy.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany termin rozstrzygnięcia konkursu na pomnik Mickiewicza. Nie było człowieka, któryby się tą sprawą żywo nie zajmował, bo po niefortunnym konkursie pierwszym, spodziewaliśmy się pewnej rehabilitacyi ze strony sędziów, którzy już raz stali się powodem wcale niepożądanej zwłoki.

Zazwyczaj bywało u nas najwięcej kłopotu z pieniędzmi — w tym wypadku stało się inaczej. *Sto dwadzieścia tysięcy guldenów* spoczywa w kasie, a tylko z wyborem planu nie mogliśmy dojść do ładu. A jednak, uzbrojeni w cierpliwość, czekaliśmy spokojni, sądząc, że dłuższy termin pozwoli naszym rzeźbiarzom wystąpić z dziełami wielkiej wartości artystycznej, że jeśli wybór będzie trudny, to jedynie z powodu wielkiej ilości projektów dobrych, równej mniej więcej wartości.

Nie można powiedzieć, ażeby komitet budowy pomnika zbyt uspokajająco na nas działał — przeciwnie dokładał starań do wcale niemiłych podrażnień. Dość przypomnieć nieznośnie długie targi o miejsce, na którem ma pomnik stanąć. Ale w końcu zgodzono się *stanowczo* na rynek i pozostawało tylko wybrać model, oddać go do wykonania, a potem urządzić świetne odsłonięcie pomnika...

Na wielki sąd artystyczny, zaproszono dwóch zagranicznych gości — profesora wiedeńskiego Zumbuscha i paryskiego Guillaume'a. Obaj ludzie kompetentni, więc podnoszący wielce powagę krakowskich sędziów.

Projektów nadesłanych było 31 i w ogóle robiły bardzo dobre wrażenie, dawały wymowne świadectwo dojrzałości naszej sztuki rzeźbiarskiej.

Dla ułatwienia pracy, sędziowie dnia pierwszego usuwali przedewszystkiem te projekta, które bezwarunkowo na nagrodę nie zasługiwały. Dopiero pomiędzy pozostałymi, najlepszymi, miano ostateczny uczynić wybór. Każdy z odrzuconych projektów zakrywano czarną krepą, niby na znak żałoby wieczystej, po straconych usiłowaniach artystów. Praca szła dość szybko, bo wyszukiwania błędów i stron wadliwych jakoś zawsze łatwiejszem jest, aniżeli odsłanianie dodatnich, dobrych.

Nietkniętych zabójczą dłonią, pozostało modeli — pięć.

Widzimy więc, iż sędziowie z rozdawaniem szat żałobnych wcale się nie lenili — ale po tak energicznej krytyce, nie czuli już dość sił do rozdzielania pochwał i nagród. Zapragnęli wypoczynku i świeżego powietrza. Poszli tedy oglądać miejsce najdogodniejsze do wzniesienia pomnika.

Tak doniosły dzienniki.

Wiadomość ta wprawiła nas istotnie w zdumienie. A to co? — pytamy. — Czyż już poprzednio nie zapadła *ostatecznie i stanowczo* uchwała, że pomnik ma być wzniesiony w rynku? Czy sędziowie o tem zapomnieli, że uchwała ta kosztowała nas długie miesiące narad i polemik i że powitaliśmy ją jak prawdziwą wybawicielkę od plagi marnowania czasu i słowa?

Ta procesya po publicznych placach krakowskich, zakrawała trochę na komedyę...

Lecz idźmy dalej.

Drugiego dnia zebrali się sędziowie na nowo, dla zakończenia dzieła. Sprawdziło się, że sen jest najlepszym doradzcą. Sędziowie musieli w nocy mieć objawienie. Jakiego ono było rodzaju, czy we śnie, czyli też przed udaniem się na spoczynek spłynęło? — Trudno odgadnąć. Dość, że na drugiem posiedzeniu zgodzili się sędziowie jednogłośnie na uznanie jednego z projektów, poprzednio kirem okrytych, jako chwilowo tylko spoczywającego w letargu.

Reszta została stanowczo pod czarną osłoną — tylko projekt opatrzony godłem „Świteź", powstał z martwych tak silny, iż pobił wszystkie od wczoraj przy życiu zachowane i w tym pośmiertnym wyścigu odniósł świetne zwycięztwo, zdobył wawrzyny i *3,000 guldenów* nagrody.

Po rozpieczętowaniu kopert, okazało się, iż *laureatem* jest pan **Dykas**, który na pierwszym konkursie skrył się po za przyłbicą "Spłoszonej kraski" i również nagrodę pieniężną otrzymał. Jaką była nagroda moralna, o tem chyba każdy pamięta.

Oprócz tego nagrodę drugą otrzymał p. Celiński z Warszawy, trzecią p. Barącz ze Lwowa.

Projekt przez pana Dykasa wykoncypowany, ma jedną wielką zaletę. Oto służyłby ku uwiecznieniu pamięci Mickiewicza, (samo przez się rozumie się, że unieśmiertelniłby również i pana Dykasa) a zarazem byłby dogodną studnią!...

To nie żart wcale, ale prawda. Słuszną ktoś zrobił uwagę, że pomnik taki należałoby wznieść temu, kto w Krakowie zaprowadzi wodociągi... ale czy dobrym byłby dla Mickiewicza?...

Jeszcze jedna rzecz ważna łączy się z tym projektem. Kosztowałby tylko 60 do 80 tysięcy.

W dzisiejszych ciężkich czasach, oszczędność jest chwalebną, ale pytamy co zrobić z resztą pieniędzy zebranych (40,000 guldenów)? Składki płynęły na pomnik, a kto będzie miał prawo rozporządzać tą kwotą?

Ani pan Dykas, ani sędziowie o tem nie pomyśleli, jak w ogóle nie pomyśleli o tem, kto i na co dał im mandat w tak ważnej sprawie.

Znawcy jednogłośnie zgadzają się na sąd o pomyśle pana Dykasa, nazywając go banalnym i konwencyonalnym, a sami sędziowie widzieli w nim błędów niemało, skoro zażądali tylu poprawek, iż z modelu pana Dykasa nic prawie nie pozostało. Sędziowie w wielkiej gorliwości wybrali już nawet komitet, który ma czuwać nad dokonaniem tych poprawek i wykończeniem pomnika — w Wiedniu, pod nadzorem profesora Zumbuscha, którego, którego uczniem jest pan Dykas.

W obec tego zapytują wszyscy, jak można było przyznać pierwszą nagrodę projektowi, który wymaga tylu łatanin, a następnie kto sędziom dał prawo wybierania wspomnianej komisyi? Ani jedno, ani drugie nie było przewidzianem i z sądem ogółu niezgadza się.

Smutna to sprawa.

Cały Kraków kipi z oburzenia, zewsząd sypią się protesta, bo nikt niechce dopuścić do zmarnowania grosza składkowego w taki sposób, na jaki się widocznie zanosi. Zaprotestowały koła literacko-artystyczne krakowskie i lwowskie, czytelnia akademicka w Krakowie, która była inicyatorką składek i sama zebrała 50,000 guldenów, dalej uczniowie szkoły sztuk pięknych, rzeźbiarze warszawscy i wielu innych. Matejko ogłosił list otwarty w tej sprawie, a sąd jego wcale dla sędziów nie jest pochlebnym.

Co dalej będzie? — pytamy.

Powtórzyła się jota w jotę komedya piewszego konkursu, czego nikt się chyba niespodziewał. Koterya gwałtem chce narzucić swą władzę tam, gdzie tego rodzaju targnięcie się na żądania ogółu jest co najmniej niewłaściwem. Ci, którzy dawali pieniądze, mają niezaprzeczone prawą i dlatego wydrzeć ich sobie nie dają.

Raz jeszcze powtarzamy — smutne to bardzo.

W obec takich warunków, po skończonej „pracy", zasiedli członkowie sądu do uczty, na cześć gości pp. Zumbuscha i Guillaume'a. Dziękowano im za to, że nieodmówili swej pomocy w tak ważnej pracy, nieszczędzili trudów, połączonych z daleką podróżą, byle stanąć przy boku sędziów, rozstrzygających losy pierwszego u nas pomnika tej doniosłości.

Profesor Guillaume odpowiedział słowami, (przytaczamy z „Kuryera Codziennego"), które godzi się przytoczyć:

„Zadość uczynić życzeniu komitetu, było dla mnie rzeczą nader miłą, przypominało mi to bowiem owe czasy młodości, kiedy przybywszy jako uczeń do Paryża, słuchałem wraz z kolegami z natężoną uwagą, z bijącem sercem, wspaniałych wykładów Mickiewicza w College de France. Nieraz w śniegu po kostki czekaliśmy przy bramie na wyjście mistrza, aby mu okazać naszą cześć i uwielbienie. Z kolei i na mnie przypadł zaszczyt wykładać w tem samem College de France, wsławionem także przez waszego nieśmiertelnego wieszcza. Niedawno temu umieściliśmy pamiątkową tablicę na cześć Mickiewicza w tej właśnie sali College de France, którą niegdyś ożywiało jego słowo. Ja, moi panowie, należę do tej generacyi, która wychowaną była w uczuciach sympatyi dla was i uznania dla waszych obywatelskich cnót. Nie dziwcie się zatem, że na wezwanie wasze odpowiedziałem, że pospieszyłem tam, gdzie mię wabiły wspomnienia o Mickiewiczu, złączone z moją młodością i uczucia dla waszego kraju. Szczęśliwy też jestem, że się znajduję w tem mieście pełnem pamiątek, w którem spoczywają królowie wasi, a w którem chcecie postawić pomnik królowi waszych poetów. Podziwiam tu siłę waszego ducha, podziwiam zapał, z jakim wasi rzeźbiarze przystąpili do dzieła i który widać w ich projektach. Nie wy macie mnie dziękować, lecz ja wam, żeście mi dali sposobność znalezienia się wśród was. Dziękuję też wam serdecznie i życzę, aby wszelkie wasze pragnienia i zamiary ziściły się i pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem."

Zapewne zagrzany wspomnieniami mówił szanowny gość szczerze, z przekonania. Dla nas jego słowa brzmią dziwnie, jakby ostra satyra na sędziów krakowskich, bo podnosi właśnie te wszystkie zalety, których im brakło.

Niechcemy sądzić — zła wola, czy lekkomyślność kierowała komitetem.

Czekamy rezultatu protestów, a żal nam zmarnowanego czasu. Niechcemy nawet przypuszczać, aby komitet upierał się przy swym sądzie.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Czytamy w „Kuryerze Porannym".

„Najpiękniejszy wieniec na grobie ś. p. Odyńca, złożył jego kolega w pieśni, ten serdeczny poeta, kiedy niekiedy odzywający się u nas echem z dalekiej Florencyi. Wieńcem tym jest list przesłany przez Teofila Lenartowicza do „Kroniki Rodzinnej", po skonie poety.

Lenartowicz oddaje w nim cześć już nie jako przyjacielowi Mickiewicza, lecz Odyńcowi jako poecie, z uniesieniem wyrażając się o jego „Felicycie", która „powinna zająć pierwsze miejsce w poetyckiej, chrześciańskiej literaturze."

O tłomaczeniach Odyńca, mówi Lenartowicz: „Tłomaczenia jego, to dowody najwyższego entuzyazmu wzniosłej duszy, która wprowadzając ukochanego swego w koło zebranych, przystraja go w bogactwa własne, w rodzinne swoje perły i brylanty."

Kończąc wyrażać żal swój nad stratą poety, Lenartowicz mówi:

„I jakże takiej harfy nie żałować, która tyle i tak czarownych tonów zdolną była wydawać z siebie! Lecz skoro tak już podobało się Bogu, pochylmy czoła i odmówmy w ciszy: *pax tibi* harfo rozbita! Duch który na tobie wygrywał boskie tony, żyje i cieszy się obecnością wiekuistego słońca, które nigdy nie zachodzi."

*** Praca około ułożenia tak niezbędnie potrzebnego słownika zoologicznego i botanicznego, o tyle postąpiła, iż niebawem ogłoszony ma być prospekt na to dzieło, które obejmie 50 arkuszy druku.

Dzieło zacznie wychodzić zeszytami w przyszłej jesieni.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Piśmiennictwo tureckie rozwija się każdym rokiem. Według urzędowych danych, w roku 1884 wydano w Turcyi 441 książek, z których tureckich 113; dalej 64 ormiańskich; 56 greckich; 5 bulgarskich; 1 francuzką; 1 angielską i 1 żydowską. Pism peryodycznych, włącznie z Rumelią Wsehodnią, wychodziło 105. Z tych 32 po turecku, 22 po arabsku, 21 po ormiańsku, 12 po grecku, 10 po francuzku, 2 po włosku, 2 po bulgarsku, 2 po żydowsku, 1 po angielsku. Tak więc zarówno pism, jak książek najwięcej w języku tureckim.

*** Panie duńskie ofiarowały swej królowej szczególny podarunek na imieniny — zakupiły bowiem dla niej baterye, złożoną z ośmiu dział 60 funtowych. Wybrana deputacya wręczyła królowej tytuł własności.

*** Zmarły w Dublinie d. 20 z. m. kardynał Mac-Cabe, arcybiskup, niejednokrotnie własnemi funduszami wspomagał nieliczną w Irlandyi polską drużynę. Wdzięczni ziomkowie nasi, urządzili za duszę jego żałobne nabożeństwa w Dublinie i w Korku.

*** Donoszą z Florencyi, o wystawieniu w tamtejszym teatrze „Salvini", nowej trzy-aktowej opery, skomponowanej przez Egipcyankę, panią Irenę Marpago. Kompozytorka sama dyrygowała orkiestrą, co niemało przyczyniło się do podniesienia zapału publiczności, dla utworu znamionującego prawdziwy talent.

OD REDAKCYI.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава 28 Февраля 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Opis do N-ru 10.

(Dokończenie.)

N. 37. Suknia ze stanikiem skośno zapiętym.

Krój stanika dopasować można podług formy danej do ryciny 2 w N-rze 9; przy szeroko wyłożonym kołnierzu aksamitnym i mankietach dane fałdowanie z materyi z haftem koronkowym. Kołnierzyk płócienny stojący ze szmizetką. Czepeczek z koronki wywodzonej złotem i perełkami 8 cent szerokiej; kokarda z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.

N. 38 i 28. Sukieneczka do chrztu. Haft złotem. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 84.

Rycina 38 przedstawia wspaniałą batystową sukieneczkę haftowaną złotem; na fig. 84 dajemy wymiar sukienki; ryc. 28 przedstawia deseń haftu. Przody staniczka (*a*) zaszyte są w małe zaszewki, plecy krają się podług litery *b*; część spódniczkowa długo spadająca wymierzona podług litery *c* na fig. 84, nie zszywa się wcale z tyłu. Szeroki staniczek w pasie i koło wykroju szyi, podszyty listewką do ściągania. Haft złotem wymagający umiejętności i wprawy można zastąpić haftem jedwabiem chińskim lub filozelą.

N. 40. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.

Odrobiona z niebieskiej materyi surah, ma stanik bluzkowy i spódniczkę krajaną w jednym ciągu; podszyte w pasie i przy wykroju szyi listewką do ściągania. Wolant z haftu koronkowego lekko namarszczony pokrywa spódniczkę.

N. 41. Suknia wizytowa z bawetewym stanikiem. Patrz fig 47.

Stanik bawetowy do sukni z białej wirginii, ma z przodu karczek ażurowy z materyału koronkowego i takież rękawy; krótko podcięta z boków baskina zakończona przepięciem z wstążki spuszczonej z boku w kokardę. Spódnica drobno zaplisowana, w górze przysłonięta upięciem à paniers nierówno z boków podniesionem. Paniers z lewej strony zachodzi do tyłu i przypięte jest za pomocą haftek na baskinie stanika, jak to widzimy na fig. 47.

Opis do N-ru 11.

N. 1—2. Ubrania balowe.

N. 1. Suknia z draperyą tunikową.

Stanik, draperya, tylne i boczne plisowane bryty spódnicy, dane były z gładkiej crêpe de Chine, a bryt przedni z broszowanej materyi jedwabnej, zdobiły agrafy, z imitacyi drobnych pereł. Draperya z przodu przyszyta na spódnicy poniżej paska, nie zasłania wcale bocznego bryta z prawej strony, któren w sposób wskazany na ryc. 1, zdobią grube jedwabne sznury. Z lewego boku draperya jest niżej spuszczona i łączy się z suto podpiętemi brytami tylnemi. Stanik bawetowy odznacza się niezwykłym górnym wykrojem, któren z jednej strony zachodzi głęboko na ramię, z drugiej mocno wycięty nie zasłania go wcale, a u dołu dopełniony jest plisowaną tiulową szmizetką. Girlandy z kwiatów zastępują bertę.

N. 2 i ryc. 24 w N-rze 12. Suknia z przypinanym trenem.

Długi tren wykończa się oddzielnie; i może być dodawany lub odjęty od spódnicy. Miary i mały model połowy trenu dajemy w N-rze 12 na ryc. 24; *b* oznacza górną część przykrojoną z podszewki, którą pokrywa się ułożoną w fałdy, częścią *c*, przedzieloną poprzecznie w środku sutą riuszą, z podwójnie złożonego, 15 cent. szerokiego kawałka materyi. Druga taka riusza

wa się cały atłasem, a z brzegów bocznych zdobi ranwersami z pluszu odznaczonemi linijką na modelu. Spódnica atłasowa zagarnirowana jest z przodu wolantami koronkowemi, naprzemian z pluszowemi materyą podszytemi, zakończonemi z boków wachlarzowo ułożoną koronką. Głęboki kwadratowy wykrój pluszowego stanika, dopełnia chusteczkowa, koronkowa szmizetka, skrzyżowana z przodu. Rękawki półdługie, koronkowe. Model odrobiony był z atłasu i pluszu oliwkowego, z koronkami i bladobronzowmym tiulem koronkowym.

N. 4. Talerz z miedzi niklowanej, ozdobiony grawirowaniem wypalanem serwaserem. Deseń w naturalnej wielkości na dodatku z krojami do N-rów 9 i 10 Tygodnika Mód, fig. 96.

W r. 1880 i 1883, dawaliśmy dokładny opis tej roboty, dziś dodamy, że przy wypalaniu czyli wygryzaniu kwasem saletrowym na miedzi, przedmiot potrzebuje być zanurzony przez minut 30 w płynie złożonym z równych części kwasu saletrowego i wody dystylowanej.

N. 5. Żabot chusteczkowy.

Podstawę stanowi kilka razy przefałdowany kawałek gazy, mający 34 cent. długości, w górze 5, u dołu 3 cent. szerokości, z jednej strony oszyty gładko koronką 7 i 5 cent. szeroką, pomiędzy które wkłada się różową 3 cent. szeroką wstążkę. Na żabocie naszywa się drobno zmarszczoną, 10 cent. szeroką koronkę, w sposób wskazany na ryc. 4, a brzeg dolny oszywa koronką plisowaną, 7 cent. szeroką. Kokardy z wstążki ottoman 3 centym. szerokiej.



N. 1—2. Ubrania balowe.

N. 1. Suknia z draperyą tunikową. N. 2. Suknia z przypinanym trenem. Model i miary trenu na ryc. 24 w N. 12.

N. 6. Żabot kamizelkowy.

Zrobiony z jasno niebieskiego trykotu, miał 28 cent. długości, a 13 górnej szerokości; do wykroju podciętego szeroki, z tyłu na haftki zapinany. Do naszycia w sposób wskazany, służy plecionka złota pół cent. szeroka.

N. 7. Krawatka ozdobiona kwiatami robionemi „en-relief“ i haftem na tiulu.

Krawatka z tiulu żółtawo-bronzowego koloru, mająca 154 cent. długości a 19 szerokości, miała rogi oszyte koronką 5 cent. szeroką, cerowaną na tiulu, którą do dołu trochę się przymarszcza z boków na 17 cent. długości przyszywa gładko w tiul wpuszczony; przyszycie przykrywa tasiemeczka koronkowa. Róże i pączki en relief składają się z oddzielnie na muślinie robionych, z brzegów gęsto odzierganych listków, które zeszywa się w kwiat, jedne na drugich. Liście haftuje się lub ceruje na tiulu.

N. 8. Fartuszek ozdobiony wyszywanemi pasami.

Model zrobiony był z kawałka 75 c. długiego, a 110 szerokiego, żółtawej kanwy kongresowej, u dołu podszytego listewką 4 cent. szeroką, pomiędzy którą daje się u dołu wypustkę ciemno-ponsową; brzegi podłużne oszyte takąż wypustką. Brzeg górny przemarszcza się kilka razy do 25 cent. szerokości, a poniżej marszczek układa się fartuszek w 7 kontrafałd mocno zaprasowanych. Na kontrafałdach naszywa się 3 i pół cent. szerokie taśmy kanwowe, wyszyte ponsowo. Taśmy są stopniowanej długości; najdłuższa środkowa ma 48 cent., najkrótsze po 36 cent. Marszczki podszywa się listewką z szyrtyngu; pasek zapięty z boku pod kokardą, jest z wstążki ponsowej atłasowej.

N. 9. Sukienka dla małej dziewczynki ubrana szarfą.

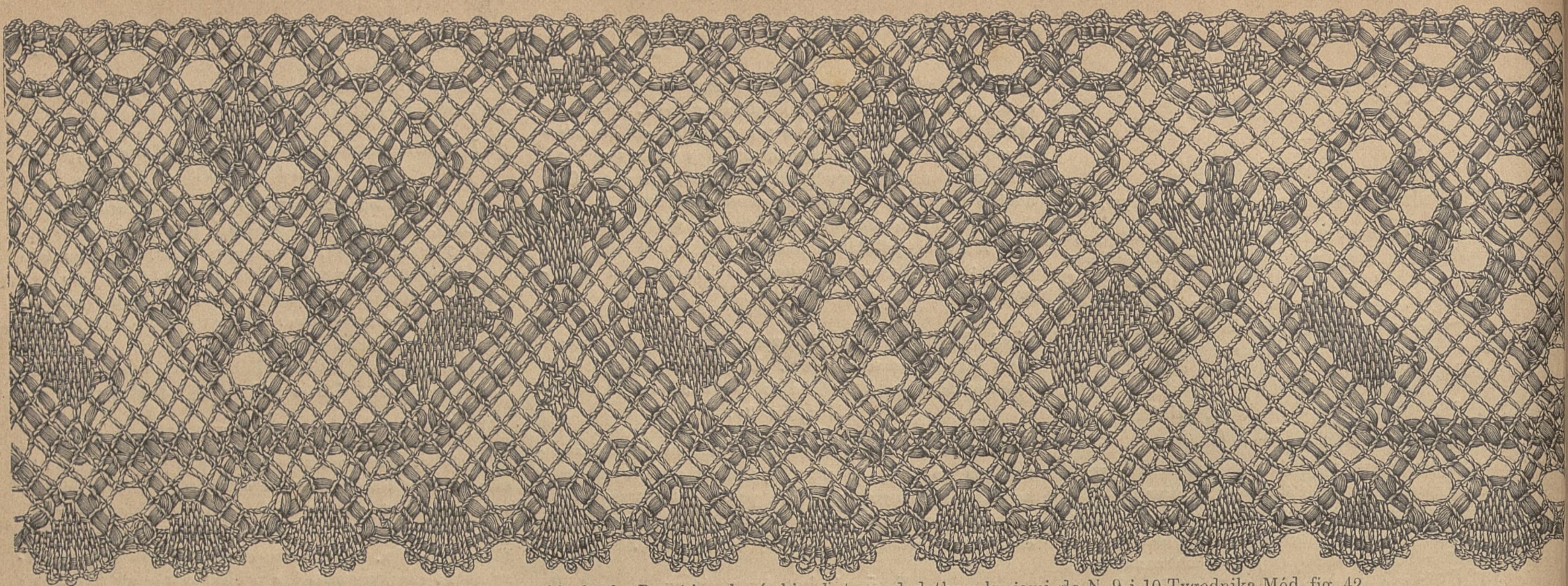
Sukienkę odrobić można z kolorowej materyi jedwabnej, wełnianej, lub z trykotu. Szeroką i długą bluzkę zapinaną niewidocznie z przodu na kryte haftki, zdobi szarfa dana skośnie od ramienia do dołu, z jednego brzega oszyta jaśniejszą koronką wełnianą. Spódniczka oszyta trzema koronkowemi wolantami. Pasek i kokardy z atłasowej, 4 cent. zerokiej wstążki.

N. 10—11. Firanki ozdobione haftem rzymskim. Deseń na dodatku z krojami do N. 9 i 10 Tygodnika Mód, fig. 37—41.

Haft, którego deseń ułożony jest w guście rzymskim, obok piękności odznacza się łatwością roboty. Na fig. 37 dajemy deseń szlaku, a na fig. 38—41, modele zwierzątek, umieszczanych pomiędzy arabeskami. Na modelu odrobionym z grubego płótna domowej roboty, haft robiony był nićmi białemi, w których miejsce użyć można kolorowej bawełny, włóczki kręconej, albo jedwabiu dobrego do prania. Próbkę haftu w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 11, żyłki przedzielające listki ztąd powstają, że każden długi ścieg poprzeczny, przedziela w środku krótki ścieg skośno podłużny. Haft taki może zarówno służyć do figur szerokich lub wązkich, okrągławo albo szpiczasto zakończonych, zaczyna się zawsze od góry do dołu. Brzegi firanek zdobi wązka wstawka i koronka niciana robiona na klockach; próbkę tej ostatniej dajemy na ryc. 3, deseń i wskazówki roboty na dodatku z krojami do N. 9 i 10, fig. 42.

N. 12—13 i ryc. 26 w N. 12. Kosz na bieliznę, ozdobiony aplikacyą.

Model koszyka z trzciny koloru orzechowego, miał wraz z nóżkami, 44 cent. wysokości, ściana przednia i tylna po 28 cent. górnej, a po 23 cent. dolnej szerokości, ściany boczne po 24 cent, a przykrycie 34 cent. środkowej szerokości. Ozdobę kosza stanowi ładna mozajkowa aplikacya dana na przykrywce i takaż lambrekina na ścianie frontowej, do których deseń damy na ryc. 26 w N. 12. Na tło do aplikacyi użyta była flanela koloru czerwonego pompejańskiego a na aplikacyę flanela oranżowa, rezedowa, i dwa cienie brunatne. Kon-



N. 3. Koronka szwedzka robiona na klockach. Deseń i wskazówki roboty na dodatku z krojami do N. 9 i 10 Tygodnika Mód, fig. 42.

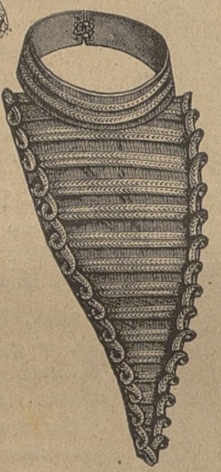
hamburskiej, w takich kolorach jak aplikacya, lecz odróżniającego się odcieniu. Na załamaniach figur przeszywa się włóczkę, małemi, poprzecznemi ściegami. Pompony w kolorach tła i aplikacyi, zdobią lambrekinę i rogi kosza.

N. 15—16. Kokardy do ubrania sukni albo do głowy.

Do ozdoby toalet wieczorowych lub balowych obok kwiatów służy złoto i srebro. Na ryc. 15 i 16 podajemy dwie kokardy, które przypiąć można do stanika lub do głowy; ryc. 15 przedstawia kokardę z 4 cent. szerokiej plecionki złotej i srebnej, z których dane są cztery pukle 6 cent. i dwa końce 6 i 10 cent. długie. W kokardę wsunięty jest pęczek złotych i srebrnych pręcików filigranowych, 20—30 cent. długich, na ktorych siedzi maleńki ptaszek zgrabnie zrobiony z białych piórek gołębich. Kokarda ryc. 16 zrobiona jest z atłasowej wstążki, 5 cent szerokiej, którą związany jest pęczek złotego owsa.



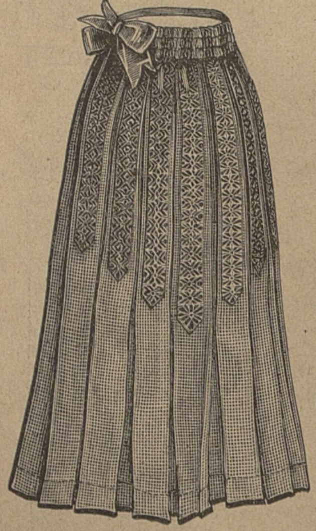
N. 5. Żabot chusteczkowy.



N. 6. Żabot kamizelkowy.

N. 19. Ubranko z kwiatów i motyla.

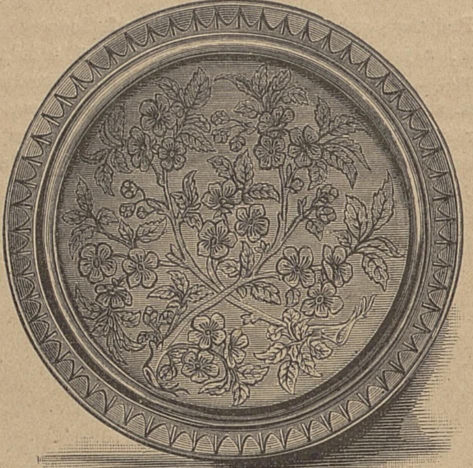
Fasonik stanowi kółko ze sztywnego tiulu, mające 9 i pół cent. średnicy, oszyte z brzegu agremanem i wstążeczką. Na kółku w odsępie 3 cent. od brzega, naszywa się 8 cent. szeroką oliwkową, sznelową koronkę, suto wyszywaną złotem. Wyżej z jednego boku naszywa się drugi rząd koronki, a na drugiej stronie przypina się do środka kółka bukiecik z liści aksamitnych i jagód oliwkowych i złotych, na którym umieszczony jest motylek zrobiony z piór.



N. 8. Fartuszek ozdobiony taśmami kanwowemi.

N. 20. Ubranko z bukietem z bratków.

Denko ze sztywnego tiulu, mające 13 cent średnicy przed oszyciem agremanem, zaszywa się w drobne fałdki do 35 cent. obwodu. Podwójny 8 cent. szeroki, przymarszczony pas złotej materyi, przyszywa z przodu na foremce tak, żeby 3 cent. wystawał, a z tyłu równo z brzegiem, i układa się z niego na foremce bufkę spadającą do przodu. Z przodu naszywa się dochodzącą do brzegu czółka, czarną koronkę, suto ozdobioną srebrnemi perełkami i grelotkami; a do tyłu przypina się bukiet z bratków.



N. 4. Talerz ozdobny. Deseń wygryzany, czyli wypalany serwaserem, na miedzi niklowanej.

N. 21, Wachlarz malowany.

Wachlarz w oprawie z ciemnego szyldkretu, pokryty czarną jedwabną gazą, ozdobiony był hiszpańską koronką i aplikacyą wycinanych z koronki, oddzielnych figur, pomiędzy któremi umieszczone były pięknie malowane amorki i kwiaty.



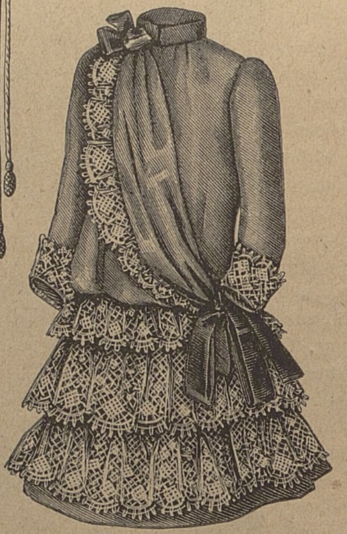
N. 7. Krawat tiulowy ozdobiony haftem „en relief" i płaskim, i koronką cerowaną na tiulu.



N. 10. Firanki ozdobione haftem rzymskim. Zobaczyć próbkę ryc. 11, deseń na dodatku z formami do N. 9 i 10 fig. 37-41.

N. 22—23. Buciki spacerowe.

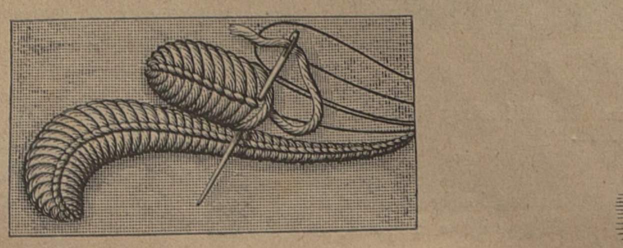
Obok bucików z miękkiej skórki kozłowej, (ryc. 22) modne są do wyjścia na ulicę buciki z materyału czarnego, lub takiego jak suknia koloru, jaki dajemy na ryc. 23. Tak do pierwszych jak i do drugich daje się szerokie obłożenie z lakierowanej skóry, stębnowane w koło i na palcach. Zapięcie na guziczki i sznurowanie jest równie modne.



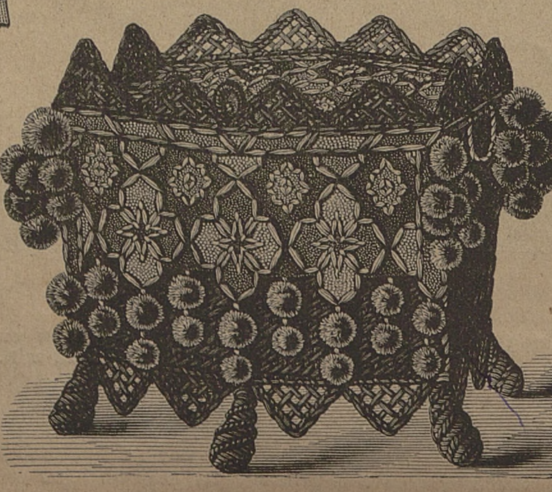
N. 9 Sukienka z upięciem szarfowem, dla małej dziewczynki.

N. 24. Suknia strojna garnirowana wolantami.

Spódnica z materyi perłowego koloru, zagarnirowana jest szerokiemi wolantami, haftowanemi jedwabiem ponsowym. Nad dolnym wolantem naszytym równo w około, cztery następujące, zaczynające się z prawej strony przy brycie tylnym, tworzą z przodu rodzaj zaokrąglonego fartuszka, a o



N. 11. Próbka haftu rzymskiego do ryc. 10.



N. 12. Kosz na bieliznę ozdobiony aplikacya. Zobaczyć ryc. 13

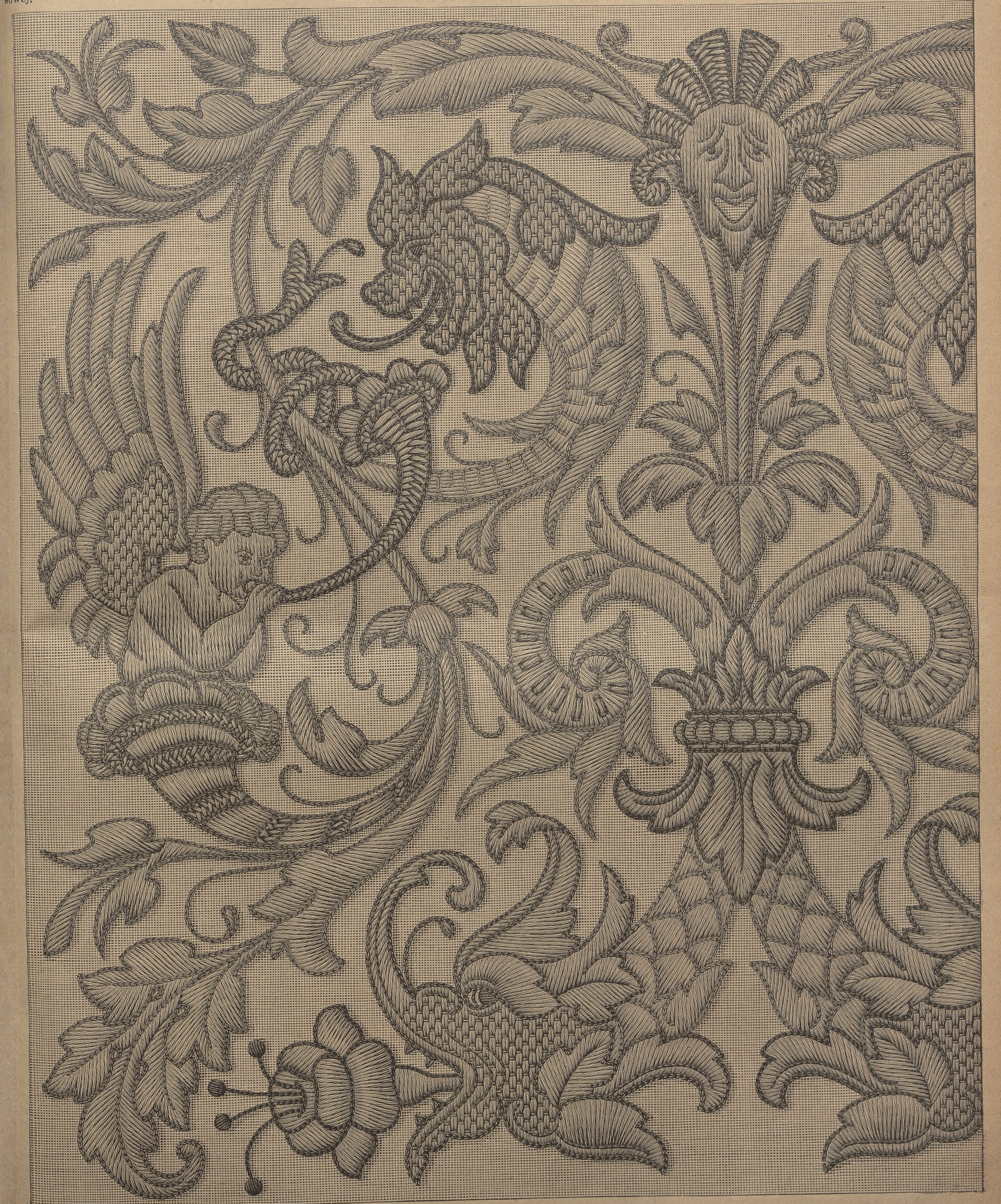


N. 13. Przykrywa do kosza ryc. 12.

lewego boku przeprowadzone są prosto przez bryt tylny. Na gładkiem staniku z ciężkiej materyi, zakończonym w bawet z przodu i z tyłu, dany jest szpiczasty plastron haftowany; takiż kołnierzyk i mankiety przy półdługich rękawach. Kokardy z wstążki repsowej, perłowej i ponsowej.

wa ozdobiona zfałdowanym brytem materyi, któren z jednej strony przypięty jest na staniku, z drugiej razem z koronką podpięty à paniers kokardą ze wstążki, z drugiej strony dane paniers z samej materyi. Stanik otwarty z przodu, zapięty na dwie w przeciwnym kierunku idące patki, krajane razem z przodami, ma od spodu dodaną

Drewniane nogi ławki obite są gładko takim jak siedzenie materyałem i ozdobione frędzlą i torsadą. Do obicia służyć może aksamit, materya jedwabna, plusz lub inny wełniany materyał. Szlaki haftowane być po winny na materyale, takiego jak pokrycie koloru, lecz odmiennego gatunku. Na modelu szlak podany na ryc.



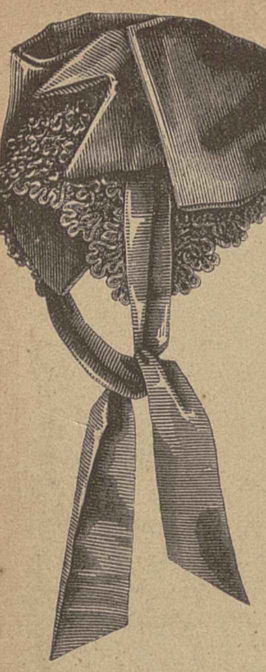
N. 14. Haft „renaissance" na poduszkę ryc. 21 w N-rze 12. Zobaczyć tamże ryc. 15 i 16.

N. 25. Ubranie wizytowe z draperyą à paniers.

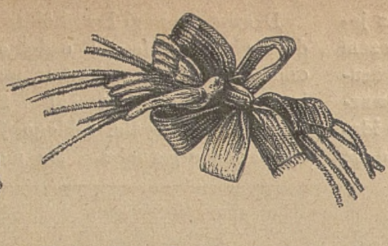
Spódnicę oszytą u dołu drobnem plisowaniem i falbanką przymarszczoną, pokrywają z tyłu bryty fałdowane i gładko spuszczone, a z przodu szeroki wolant koronkowy, na który z lewego boku spada druga część koronkowa ... kamizelkę, pokrytą sutym garnirunkiem z koronki. Półdługie rękawy ogarnirowane koronką i ozdobione koronkowemi rozetami; w stojący kołnierz wszyty drucik.

N. 26. Ławka z wyściełanem siedzeniem, ozdobionem pasami haftu.

10 w N. 12, haftowany był na zielonym aksamicie, nićmi złotemi i srebrnemi, a kontury obwodzone sznureczkiem złotym i srebrnym.



N. 17. Kapotka z kokardą alzacką ozdobiona koronką wyszywaną złotem. Przód na ryc. 18.



N. 15. Kokarda z plecionki złotej i srebrnej, do przypięcia do głowy lub do sukni.



N. 16. Kokarda z ofsa filigranowego i ze wstążki w atłasie.



N. 18. Kapotka z kokardą alzacką, Przód do ryc. 17.

Opis do N-ru 12.

N. 1. Kapotka dla dziewczynki.

Główka kapotki z białego aksamitu, podkłada się sztywnym tiulem i bufiasto fałduje; rondko z szerokiej wełnianej koronki, marszczy się dwa razy na drucik, z boków nagina płasko a nad czołem podnosi w ząb i podpina rozetą z wstążki 3 cent. szerokiej; z której dane są końce do wiązania i kokardy z wierzchu rondka.

N. 2. Czapeczka dla chłopczyka.

Denko stanowi okrągły kawałek aksamitu, haftowanego w rzucik z kolorowych owadów, podłożony sztywnym muślinem i podszewką jedwabną który brzegiem przymarszcza się odpowiednio do obwodu głowy i wszywa się w pasek 3 cent szeroki, pokryty następnie pletnią. Z boku rozeta z wstążki 3 cent. szerokiej.

N. 3—4. Wachlarz i rozeta z wązkiej wstążeczki.

Moda obecnie daje pierwszeństwo wachlarzom płaskim, nieskładanym; model, jaki przedstawia ryc. 3, odrobiony był z tej samej wstążki co rozety do sukni i do głowy. Podstawę w formie owalnej, 22 cent. wysoką, 18 szeroką; wykrojoną ze sztywnego tiulu i oszytą grubym drucikiem; rączkę stanowi gruby drut pokryty atłasem, skręcony podług ryc. 3. Spód wachlarza pokryty skośnie fałdowaną krepą, która na zwierzchniej stronie tworzy bufkę w około brzegów. Cały środek zajmuje rozeta z pukielków 6—10 cent. długich, na której unoszą się trzy motylki ze skrzydełkami pluszowemi nakrapianemi złotem. Przy rączce 11 cent. dlugiej związana kokarda z ośmiu pukli po 85 do 100 cent. długich.



N. 19—20. Ubranka na głowę.

N. 19. Ubranko z motylem. N. 20. Ubranko z bratkami.
N. 21 Wachlarz ozdobiony koronką i malowaniem.

N. 5—9. Ubrania na lekcye tańca, dla panienek lat 6—14.

N. 5. Sukienka ze stanikiem z baskiną, dla panienki lat 8—10.

Spódniczkę zdobią dwa wolanty z cienkiej wełnianej koronki, rozdzielone w środku bufą marszczoną. Staniczek ma z przodu baskinę podciętą bawetowo, z tyłu dłuższą i złożoną w podwójną kontrafałdę. Podłużny wykrój szyi, baskina i rękawki ogarnirowane węższą koronką. Z tyłu na spódniczce przypięta suta szarfa.

N. 6. Sukienka z bluzkowem vêtement, dla panienki lat 10—12.

Biała wirginia w atłasowe paski, przybrana 10 cent. szeroką koronką wywodzoną na tiulu. Spódniczka pokryta naprzemian falbankami plisowanemi i koronkowemi. Vêtement na podszewce gładko dopasowanej do figury ma zwierzchni materyał przodów przemarszczony w pasie, pod szyją i na ramionach. Kreza koronkowa dopełniona z boku spuszczonym żabotem, przypiętym kokardami.

N. 7. Suknia z vêtement, dla panienki lat 11—14.

Przody i boczki vêtement krajane są na długość zwykłej baskiny i dopełnione oddzielnemi częściami paniers, sfałdowanemi poprzecznie i wysoko podpiętemi z boków. Plecy krają się w jednym ciągu z brytem tylnym, 70 c. długim 130 c. szerokim, zakończonym u dołu zakładkami i podpiętym podług ryc. 7. Spódnica plisowana u dołu na 15 cent. szerokości zaszyta w zakładki. Kokardy z wstążki 6 cent. szerokiej.

(*D. n.*)



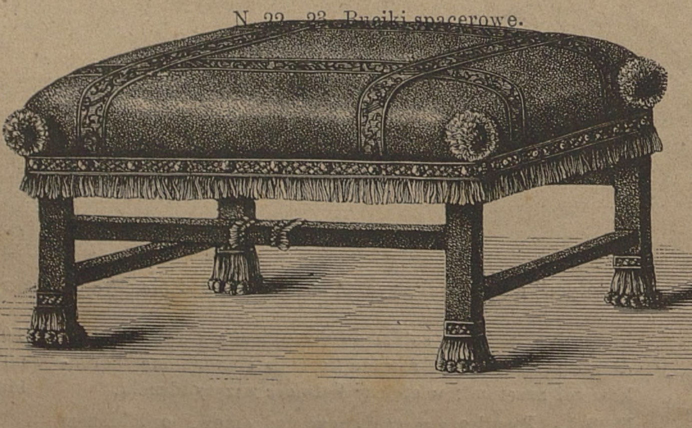
N. 24 Suknia garnirowana haftowanemi falbanami.



N. 22—23. Buciki spacerowe.



N. 25. Suknia wizytowa z draperyą à paniers.



N. 26. Ławka wyściełana, ozdobiona haftowanemi pasami.